

Polska na arenie międzynarodowej. Z Markiem Belką rozmawia Agnieszka Legucka

Niniejszy numer „Spraw Międzynarodowych” poświęcamy miejscu Polski na globalnej scenie politycznej. Jaka według pana jest nasza pozycja?

Chodzi pani o rok 2018? Ostatnie trzy lata zmieniły miejsce Polski w Europie i świecie. Inaczej mówiłbym trzy czy cztery lata temu, a pewnie co innego powiem dzisiaj.

Najpierw porozmawiajmy z perspektywy ostatnich stu lat...

W tym roku obchodzimy stulecie powrotu Polski na mapę. Jako naród mamy historię tysiącletnią, ale przecież przez tyle lat Polski nie było. Nie było żadnych Niemiec ani Francji. To są pojęcia, które powstały dopiero później. Na pewno w ciągu ostatnich stu lat nasz kraj odniósł sukces. Sto lat temu pojawiliśmy się na mapie i przez dwie dekady budowaliśmy swoją państwowość – gorączkowo, ale jednak dosyć skutecznie. Tak naprawdę nigdy wcześniej nie mieliśmy nowoczesnego państwa, a nasza osiemnastowieczna państwowość nawet jak na tamte czasy była ponurym żartem; dziś powiedzielibyśmy o niej *failed state* (państwo upadłe). W dziewiętnastym wieku nie było nas na mapie i wreszcie w 1918 r. szczęśliwym, a właściwie niesamowitym zbiegiem okoliczności zdołaliśmy się na niej pojawić. Mówiąc: „zbiegiem okoliczności”, nie chce bynajmniej umniejszać roli naszych pradziadów. Trzeba mieć jednak świadomość, że w samym powstaniu Polski nasza zasługa jest niewielka; od nas zależało jednak to, jaka ona powstała – zarówno jeżeli chodzi o granice, jak i organizację wewnętrzną. Mój stosunek do tego okresu nie jest jednoznacznie entuzjastyczny, ale trzeba jasno powiedzieć, że odbudowa państwowości była niesamowitym sukcesem. Zwróćmy uwagę, jakie to były czasy: jeżeli spojrzeć na lewo i prawo na mapie, to nawet ta Polska sanacyjna – nawet ta najgorsza, po śmierci Piłsudskiego – była tylko autorytarna, a nie totalitarna. Nasze państwo nie było jednak uznawane jako trwały element ładu międzynarodowego. Chyba tylko ze Związkiem Radzieckim mieliśmy uznane granice, ale wiemy przecież, jaki był stosunek Stalina i jego poprzedników do prawa międzynarodowego. Wiele państw podważało prawo istnienia

Rzeczypospolitej, uznając ją za państwo sezonowe, za bękarta traktatu wersalskiego. Choć traktowana była czasem jak państwo trochę na wyrost, to jednak była. Nasze trwanie w tym trudnym położeniu zakończyła druga wojna światowa, która przyniosła Polsce – powiedzmy sobie to szczerze – katastrofę geopolityczną, materialną i biologiczną.

Obchodzimy dziś sto lat odzyskania niepodległości, ale jak oceniać ten okres podległości lub niepełnej suwerenności Polski? Jak pan ocenia ciągłość państwa polskiego w tej perspektywie?

Oczywiście, że to nie była Polska niepodległa, bo miała ograniczoną suwerenność. Gdy jednak spojrzeć szerzej na sytuację międzynarodową, to Litwini, Łotysze i Estończycy wiele by wówczas dali za taką ułomną niepodległość, a i dziś np. Kurdowie sprzedaliby dusze diabłu za taką suwerenność, jaką mieliśmy w czasach PRL. Oczywiście nie była ona pełna, ale nie da się zaprzeczyć istnieniu pewnej ciągłości. Ta wyszydzana PRL została przecież uznana na arenie międzynarodowej, a dla nas najistotniejsze jest to, że uznano granice Polski. Jak zatem można dziś mówić o PRL jako o niebycie? A kto zagospodarował ziemię od Świnoujścia do Bogatyni? No my, to znaczy ci... peerelowcy? – nie wiem nawet, jak ich nazwać. Podważanie ciągłości Polski jest bardzo niebezpieczne.

Wspominał pan o kontekście międzynarodowym. Chyba mamy obecnie w Polsce duży problem z dyskusją na temat ostatnich trzydziestu lat i ich oceną...

Mamy problem nie tylko z oceną ostatnich lat, ale także okresu międzywojennego i czterdziestu pięciu lat PRL. Wynika to z błędnego myślenia, że była to jednolita czarna plama, bez żadnych odcieni, a Polska jest jakimś wiecznym tworem. Zauważmy, że w PRL zagospodarowaliśmy ziemię zachodnie, które trudno uznać za praslówiańskie czy prapolskie. Zrobiliśmy to my – nasi ojcowie i dziadowie.

Przejdźmy do bardziej współczesnych kwestii. Był pan uczestnikiem i świadkiem, jak SLD wprowadzał Polskę do Unii Europejskiej. Czy nadal jest pan jej zwolennikiem? Mam wrażenie, że kiedyś nie można było mówić o wspólnocie nic złego, a dziś mało kto wypowiada się o niej dobrze.

Ależ nie można o niej mówić o nic złego! Sam Jarosław Kaczyński i PiS twierdzą przecież – szczególnie po drugiej turze wyborów samorządowych – że ktoś bezczelnie i kłamliwie zarzucił Prawu i Sprawiedliwości dążenie

do *polexitu*. Jesteśmy więc w jakiejś absurdalnej sytuacji, bo o UE nie można mówić ani źle, ani dobrze.

Zadała mi pani pytanie, z którego wynika, że SLD wprowadzał Polskę do UE. Obserwowałem to z bliska, ale nie byłem wtedy członkiem rządu i nie uczestniczyłem w dopinaniu przez Leszka Millera negocjacji w sprawie członkostwa Polski (nie wydaje mi się zresztą, by można było uzyskać lepsze warunki). Tutaj właśnie widoczna była ciągłość w polityce gospodarczej i społecznej, począwszy od pierwszych dni rządu Tadeusza Mazowieckiego. Jego geniusz przejawiał się w tym, że uznał, iż zjednoczenie Niemiec jest dla Polski rozwiązaniem korzystnym. Trzeba było mieć wówczas mnóstwo mądrości politycznej, bo przecież wiadomo, że nie my o tym decydowaliśmy. Przez fakt, że od razu zajęliśmy w tej sprawie pozytywne stanowisko, staliśmy się dla nich ważnym i ulubionym krajem. Poukładaliśmy zresztą stosunki ze wszystkimi państwami – może nie tak dobrze i głęboko, jak się wydawało, ale jednak. Jeżeli chodzi o UE, to chęć akcesji zadeklarowaliśmy już u zarania naszej transformacji. Na początku lat dziewięćdziesiątych podpisaliśmy dokument hucznie nazywany układem europejskim, podczas gdy był to zwyczajny układ stowarzyszeniowy. Od tego czasu jednak każdy krok legislacyjny w Polsce musiał być weryfikowany pod kątem zgodności z prawem UE. Uważam, że to była nasza tęsknota za czymś lepszym.

Unia Europejska nie jest bez wad i był taki moment w jej historii, kiedy decydowały się sprawy pogłębienia integracji, np. przyjęcia traktatu konstytucyjnego. Czy myśli pan, że ściślejsza integracja wówczas pomogłaby lepiej odpowiedzieć na późniejsze kryzysy – ekonomiczny i migracyjny? Czy bylibyśmy bardziej przygotowani?

Nie za bardzo zgadzam się z tezą, że z punktu widzenia naszego kraju Unia Europejska ma jakieś istotne wady. Dla Włochów problemem może być na przykład istnienie wspólnej europejskiej waluty. Z jednej strony ułatwiła im ona życie, ale z drugiej uspiła instytucje państwa. Nigdy nie było tam silnego państwa, w związku z czym okazało się, że Włochy są za słabe na bycie w unii walutowej z Niemcami. My jednak w niej nie jesteśmy, to znaczy jesteśmy, ale z derogacją. Jakie więc wady może mieć dla nas UE? To są wyimaginowane wady, a nie wyimaginowana wspólnota. Oczywiście zawsze można się śmiać z przerostu biurokracji – że zaczęliśmy regulować wielkość banana... Największą wadą wspólnoty jest to, że polityka w krajach członkowskich pozostała lokalna, a więc narodowa. Każdy polityk wybierany jest na poziomie narodowym, a nie międzynarodowym. W tym kontekście

pogłębienie integracji bez pogłębienia europejskich demokracji właśnie wychodzi Unii bokiem. Trzeba sobie tu zadać pytanie: Co to znaczy pogłębienie integracji? Na przykład wspólnie zarządzamy częścią przychodów podatkowych, czyli mamy wspólny budżet, z którego finansujemy to, co jest potrzebne – jeśli trzeba, to we Włoszech itd. Do pewnego stopnia Europa na to poszła, ale to za mało. Mówimy o budżecie o coraz większych rozmiarach, a ten polityk jest wybierany w Bawarii, na Węgrzech czy w Wielkiej Brytanii i ma tendencje do przypisywania wszystkich sukcesów sobie, a wszystkich niepowodzeń – Brukseli. Gdy powtarza się to ludziom przez wiele lat, to w końcu głosują za wyjściem z Unii. Właśnie tak było w przypadku *brexitu*, dlatego uważam, że niebezpieczne jest prowadzenie takiej samej narracji w Polsce. Bo gdy budowane są drogi, to jest to sukces naszych ministrów, ale gdy nie można już kupić takiej, jak się chce, żarówki (która zre ten prąd – z nie tak taniego zresztą węgla), to już wina Brukseli. Pójdźmy dalej: dziś Polska opowiada się za wprowadzeniem sankcji wobec Rosji – nie możemy przecież pozwolić, by państwa zmieniały sobie granice w Europie, jak chcą. Gdybyśmy jednak nie byli w UE i nie mieli w niej w pewnym momencie silnej pozycji, to te sankcje nigdy nie weszłyby w życie. Wtedy udało nam się przekonać wszystkich – łącznie z Viktorom Orbánem – że trzeba się tych sankcji trzymać. Przeciwnicy Unii powiedzą oczywiście, że Niemcy budują przecież z Rosjanami Nord Stream 2. A gdyby nie było UE, to by tego gazociągu nie wybudowali, jeżeli uznaliby, że jest to dla nich z jakichś powodów korzystne? Mówiąc krótko, z punktu widzenia Polski Unia Europejska wad nie ma. A jakie ułomności UE mogą według mnie doskwierać krajom tzw. twardego rdzenia? Chociażby polityka gospodarcza, którą wymusza strefa euro, choć nie wszystkie państwa na to stać.

Kilka lat temu nie był pan zwolennikiem wejścia naszego kraju do strefy euro. Potem zmienił pan zdanie, przekonując, że Polska powinna to zrobić. Teraz mówi pan, że są z tym jednak związane pewne wyzwania.

Oczywiście, że są. Wspólna waluta nie załatwi nam żadnych spraw, których nie potrafimy rozwiązać sami – może nam w tym tylko pomóc. Uważam, że kwestie ekonomiczne, z powodu których boimy się wejść do strefy euro, są wyolbrzymiane. Z coraz mniejszym przekonaniem powtarzałem, że przed skutkami kryzysu 2008 r. uchroniło nas to, że nie byliśmy w unii walutowej. Prawdą jest, że złoty gwałtownie się wówczas osłabił i nawet pomimo obniżenia sprzedaży na rynki zewnętrzne nasi eksporterzy otrzymywali w polskiej walucie tyle samo pieniędzy. Uratowało ich to od problemu, tylko że taki

szczęśliwy wypadek, czyli obronna dewaluacja złotego, był wynikiem gwałtownego przyływu kapitału i aprecjacji rodzimej waluty dwa lata wcześniej. Dziś odbija nam się ona czkawką w postaci kryzysu związanego z kredytami frankowymi, ale drugi raz taka sytuacja się nie zdarzy – głównie dlatego, że banki są lepiej przygotowane i nie dopuścimy do wzmocnienia złotówki i napływu obcego kapitału. Mamy instrumenty, bo cały świat się czegoś nauczył.

W USA rozluźnia się jednak właśnie niektóre mechanizmy kontroli. Dodatkowo mamy sytuację bezprecedensową, ponieważ Donald Trump zaczął prowadzić wojny handlowe z Unią Europejską i Chinami. Jak z tej perspektywy widzi pan pozycję UE i Polski?

Mamy tu kilka spraw. Po pierwsze, potęga USA zasadza się na kilku filarach, a jeden z nich to niewątpliwie dolar. Jest on najważniejszą walutą na świecie, a jego jedyny konkurent w rozliczeniach międzynarodowych – nie licząc juana, który jest walutą przyszłości – to euro. Wcześniej czy później Amerykanie musieliby dość do tego wniosku, ponieważ Europa ogranicza ich woluntaryzm w polityce gospodarczej. Jak dotąd mogą sobie na niego pozwolić właśnie ze względu na pozycję dolara, ale gdyby zaczęli zupełnie szaleć, a UE czy euro byłyby stabilne, inne państwa przechodziłyby stopniowo na rozliczenia w euro i amerykańska potęga stanęłaby pod znakiem zapytania. Z tego powodu Europa traktowana jest przez USA nie tylko jako sojusznik w świecie różnych wartości (dla Trumpa nie mają one zresztą większego znaczenia, chyba że chodzi wartości materialne), ale też jako konkurent. Ten aspekt relacji ze Starym Kontynentem jest jednak niezależny od osobistych przekonań prezydentów USA, a zatem i od Trumpa. Druga sprawa to zmiana geopolitycznych priorytetów Waszyngtonu. Wiadomo, że Europa schodzi na dalszy plan, ponieważ Chiny stały się najważniejszym wyzwaniem na najbliższe kilkadziesiąt lat. Jest też Bliski Wschód, ale to w większym stopniu problem Europy niż Stanów Zjednoczonych, tyle że Amerykanie to ignorują. Trzeci problem to Rosja, która jest co prawda państwem atomowym, ale jednocześnie ekonomicznym karłem i USA nie traktują jej jako zagrożenia. Wszystko to powoduje, że nie widzą przesłanek, aby angażować się w Europę.

I Polska jest w trudnej sytuacji...

No tak, my byśmy chcieli takiej sytuacji, w której Ameryka i Europa związane są twardym i mocnym sojuszem, tyle że to już było. Dokonywany dzisiaj wybór, że naszym pierwszym sojusznikiem są Stany Zjednoczone, jest naiwny. Polska jest dla nich państwem marginalnym, co swoją drogą wcale mnie

nie martwi, bo strategiczni partnerzy USA płacą za to zwykle wojną albo zagrożeniem wojennym, jak Egipt, Izrael czy Korea Południowa. Mamy jednak problem, bo w naszym sąsiedztwie leży Ukraina, Rosja... Niestety odkopujemy pokłady niechęci wobec Niemiec, które nie są przecież wyłącznie naszym partnerem gospodarczym. Moim zdaniem Niemcy są naszym jedynym poważnym sojusznikiem, co wynika z ich własnego interesu, a nie sentymentu czy poczucia winy. Tyle że oni chcą mieć na wschód od siebie kraj stabilny, demokratyczny, będący buforem czy inaczej mówiąc – obszarem stabilności i dobrobytu, który będzie ich odgradzał od Wschodu. Jest to też jedyny większy kraj na świecie, który traktuje nas poważnie. Nawet Rosjanie tego nie robią. Cieszymy się, że mamy granice i o nich nie dyskutujemy.

Jak zatem Polska ma reagować na tarcia we wspólnocie euroatlantyckiej?

Proszę mnie źle nie zrozumieć: w naszym interesie leżą dobre relacje ze Stanami Zjednoczonymi i w naszym interesie jest zmniejszanie antyamerykanizmu obecnego wśród wielu europejskich społeczeństw. Nie róbmy z siebie jednak konia, czy może raczej osła trojańskiego, bo jeśli nie będziemy mieć silnej pozycji w UE, to i USA nie będą nas traktować poważnie. Paradoksalnie naszą pozycję mógł poprawić *brexite*. Wielka Brytania będzie osłabiona.

No dobrze, a może widzi pan też jakieś szanse dla Polski?

Jeżeli zrobimy sobie porównanie roku 1918 i 2018, to dostrzeżemy wielki postęp w każdej dziedzinie. Zaczniemy od gospodarki: myślę, że Polska nigdy nie była tak blisko państw wysoko rozwiniętych – Bank Światowy już nie wie, jak nas traktować, bo z większości wskaźników wynika, że jesteśmy krajem wysoko rozwiniętym. Jeżeli zaś chodzi o geopolitykę, to UE na razie się dobrze trzyma, jesteśmy partnerem Niemiec, a wojna z Rosją na razie nam raczej nie grozi. Chyba tylko z obronnością jest gorzej niż w 1939 r.

Czy czeka nas kolejny kryzys finansowy, a jeśli tak, to w co powinniśmy inwestować?

Globalny kryzys oczywiście nas czeka – one zdarzają się cyklicznie. Gdy w sektorze finansowym nastąpi wymiana pokoleń i nie będzie już ludzi, którzy pamiętają poprzedni kryzys, wszystko się powtórzy. Natura ludzka jest bowiem taka, że nie uczymy się na błędach innych, tylko zawsze na własnych. Ludzie zapomną i będą popełniać podobne błędy jak przed 2008 r. Ponieważ jednak to przewidujemy, istnieje szansa, że kryzys nastąpi później. Bo on

nas zawsze zaskakuje i nie musi być taki, jak w 2008 r. Sektor finansowy jest przygotowany, banki są silniejsze, a nasze pod względem stabilności należą do najsilniejszych i są w stanie przeżyć zewnętrzny szok. Dodatkowo Polska nigdy nie była w ruinie, co dotyczy też gospodarki, nawet jeśli podliczyć emerytury i program 500+. Dlatego nawet gdy już nadejdzie kryzys, będziemy jedynymi, którzy mogą się prześlizgnąć. Znow możemy być zieloną wyspą.

A w co inwestować? – w obligacje państwowe. To mały pieniądz, ale pewny.

Dziękuję za rozmowę i takie podsumowanie!